

# ARCHITEKTURY PIĘKNO CZY DOBRO, CZYLI CZYM ARCHITEKTURA JEST I CO ZNACZY?

Janusz A. Włodarczyk

Wyższa Szkoła Techniczna, ul. Rolna 43, 40-555 Katowice  
E-mail: jawarch@interia.pl

ARCHITECTURE: BEAUTY OR GOOD?  
OR  
WHAT ARCHITECTURE IS IN SEMANTIC ASPECT?

## Abstract

In reference to the principles of the semantics associated with the phenomenon of architecture and derived its terms, and to Vitruvian triad *venustas, utilitas, firmitas*, this discussion focuses on the concepts of beauty and good in the context of the theory and the realities of their key modernist motifs, as elitism – egalitarianism, everyday life and celebrating art and especially architecture, and beyond, touching on the issue of order and chaos, as well as the topic: art-kitsch-religion.

## Streszczenie

W nawiązaniu do pryncypiów semantyki języka, związanej z fenomenem architektury i pochodnych od niej terminów, a także do witruwiańskiej triady *venustas, utilitas, firmitas*, niniejsze rozważania koncentrują się na pojęciach piękna i dobra w kontekście teorii i realiów modernistycznych z ich kluczowymi wątkami, jak elitaryzm-egalitaryzm, codzienność i odświętność sztuki, szczególnie architektury, i dalej, zahaczając o problem ładu i chaosu, nawiązując także do wątku: sztuka-kicz-religia.

Keywords: architecture; elitism; egalitarianism; beauty; good; order; chaos; harmony

Słowa kluczowe: architektura; elitaryzm; egalitaryzm; piękno; dobro; hiperład; ład harmonijny; chaos

*Architektura powinna mieć dość pewności  
siebie, a także uprzejmości,  
by pozwolić sobie na odrobinę nudy[...]  
w architekturze nic nie jest brzydkie samo  
w sobie – coś może być [...]  
na niewłaściwym miejscu lub po niewłaściwej  
stronie, ponieważ piękno  
jest dzieckiem harmonijnych relacji między  
częściami<sup>1</sup>.*

W mojej długiej historii zainteresowania architekturą i związanymi z nią działaniami, które w praktyce rozwijały warsztat architektoniczny, po dobrych dwu-

dziestu latach zaangażowania w dydaktykę i w konsekwencji tego – w tejsze architektury teorię, mój stosunek do istoty fenomenu, a także do sensu zawodu architekta ulegał zmianom. W gruncie rzeczy zjawisko takie nie jest niczym niezwykłym, jest zrozumiałe: z czasem, jeśli poważnie traktujemy to, co robimy, oczywisty zda się rozwój naszej osobowości, a tym samym podatność na zmiany. Powinniśmy wiedzieć coraz więcej i działać coraz to lepiej, biorąc jednocześnie pod uwagę, iż często kilkadziesiąt lat obcowania ze zjawiskiem, zwłaszcza w wieku XX i dalej, oznacza konieczność permanentnej i coraz to bardziej wnikliwej weryfikacji stanu, w jakim znajduje się świat, w którym żyjemy, i ciągłego

przystosowywania się do nieprawdopodobnie szybko następujących zmian, charakteryzujących się ciągłym przyspieszeniem we wszystkich dziedzinach naszego życia. Uwzględnienia wymaga zwłaszcza fakt, że architektura należy do niewielkiej grupy dyscyplin o szczególnie szerokim zakresie obecności i funkcjonowania.

W rozważaniach tych chodzi jednak o coś nieco innego. Nie zamierzają zajmować się one oczywiście jak powyższe, *per se*, lecz zmiennością w interpretacji zjawisk w czasie, i to nie tylko w sensie wyłączenie liniowym: od gorzej do lepiej, w zgodzie z zasadami tzw. rozwoju i wzrostu, lecz w sensie falowania: nieustających poszukiwań. Także, a może szczególnie, chodzi o nieprawidłowości w myśleniu i działaniu, zaistniałe w konsekwencji rozlicznych mitów i zakłamań. Te główne nurty dotyczące sfery pojęciowej i semantycznej fenomenu architektury nie dają się, z zasady, w praktyce perfekcyjnie rozdzielić; wiążą się i nakładają na siebie. Nie chodzi tu wszak o precyzyjne, naukowe szufladkowanie, warto natomiast, koncentrując się na pojęciu tytułowym, zastanowić się nad aspektami o szczególnie nośnym dla architektury charakterze.

Zda się logiczne, że w tak rozległej problematyce nieuchronne są powroty do wcześniej poruszanych wątków. Pojawiające się powtórzenia tłumaczą się różnorodnością kontekstów rozmaitych problemów - obecnych w różnych moich tekstach - ale też i potrzebą porządkowania przemyśleń z punktu widzenia aktualnie omawianego hasła. Jakkolwiek nie zamierzam niniejszych rozważań rozpoczynać od pryncypiów, po kolei, czyli *ab ovo*, choć wypada, by to jajo - pojęcie: czym jest architektura, jednak na wejściu, tak jak je widzę, zaistniało.

Porównując różnorakie dyscypliny i adekwatne do nich profesje czy zajęcia, związane, powiedzmy z dziedziną sztuki jak muzyka, poezja czy malarstwo, ze zdecydowanie wąskokątnym spectrum postrzegania, choć także z dyscyplinami innych sfer, jak medycyna czy też edukacja z zawodem nauczyciela i pedagoga, znacznie bardziej szerokokątnymi - z nimi nie ma raczej, jak sądzę, problemu, gdy chodzi o zrozumienie, co pojęcia te znaczą. Z architekturą, w stosunku do innych dyscyplin sztuki, ale także i techniki, jest całkiem inaczej. Jako że, z jednej strony, mieści w sobie, stosownie do rozmaitego jej postrzegania i różnych sposobów kwalifikacji, pojęcia różne, trudna jest ona do jednoznacznego umiejscowienia w semantyce języka dla znacznej części zainteresowanych nią, biernie lub czynnie, specjalistów czy miłośników-dyletantów (laików na razie zostawmy); z drugiej strony - dla chyba

znacznie mniejszej ich części jest w ocenie jednoznaczna - przy skrajnie ograniczonym, wprost najprostszym zakresie pojęcia. Ale też wieloznaczność pojęcia nie musi deprymować. Nasz język ze swymi słownikami przyzwyczaił nas do faktu, iż to samo słowo może znaczeń różnych mieć wiele.

Zatem - architektura. Spróbujmy po raz kolejny powrócić do pryncypiów, zastanawiając się, coż pojęcie to znaczy, czym ona jest. Myślę, że należy zacząć od dwóch jej definicji. Jest ich z pewnością znacznie więcej, jawią się one jednak, z zasady, jako uzupełnienia dwóch tych kluczowych, czasami jako piękne, niekiedy wymyślne i spektakularne ozdobniki, tworzone jakby około przewodnich myśli dotyczących pojęcia „architektura”.

Te dwa określenia można uznać jako podstawowe: pierwsze - osadzone w kontekście przestrzennym i materialnym, fizykalnym, drugie wynika z kontekstu semantycznego, językowego, etymologicznego. Nie mam kompetencji ani też i ambicji tworzenia pojęć słownikowych, w tym miejscu chodzi o sens i logikę określeń, bez odwołań do słownikowych autorytetów. Celem jest próba porządkowania i poprawiania *ad hoc* zagmatwanego stanu pojęciowego, oddziałującego negatywnie na przestrzeń, w której żyjemy, z myślą u nauczaniu i uczeniu się architektury - wartości jako priorytetu. Polska, jako kraj, który głównie powinien nas tu absorbować, jest tego stanu, chaosu przestrzeni, klinicznym przykładem. I nie wynika to z braku jednoznaczności w konsekwencji dyskutowanej wielości koncepcji traktowania fenomenu, lecz z całkowitego braku nim zainteresowania i, co z tego wynika, z kompletnej nieznajomości problemu.

Sens pierwszej definicji mógłby brzmieć tak: Architektura to cała przestrzeń materialna, fizykalna, w której człowiek żyje, przez niego budowana i organizowana. Jakkolwiek to budynek przede wszystkim utożsamiany jest z architekturą (mamy jeszcze budowlę, do niej powrócę), nie powstaje on jednak w próżni, posiada swe otoczenie. Przez całościowość architektury należy więc rozumieć materię wraz z otaczającą ją przestrzenią, dającą oddech, powietrze pomiędzy „materiami”. Zespół budynków (i budowli), osiedle, a nie poszczególne obiekty *in se*, są architekturą jako całością, czyli budynkami z tym, co się dzieje między nimi łącznie z pustką, powietrzem, pod warunkiem, że intencją jest tworzenie ładu i harmonii, i że nie mamy do czynienia z zastaną anarchią przestrzenną, chaosem, wyobrażającą często nieprawdopodobnie negatywne formy. Całościowość architektury ma jeszcze jedno

<sup>1</sup> A. de Botton, *Architektura szczęścia*, Czuły Barbarzyńca Press, Warszawa 2010, s. 186, 216.

znaczenie. Ta cała przestrzeń (powtórzmy) to nie wybrane domy, budynki, obiekty, te ładne i ważne, honorowane architektoniczne hity. Ważnym, choć niekoniecznie pięknym (czy nawet, lepiej: ładnym), z założenia jest każde ludzkie schronienie, udane czy nieudane. W tym miejscu warto przywołać słynne, a i oklepane powiedzenie Rema Koolhaasa: *fuck context*, w którym daje on wyraz dystansowania się od nieakceptowanego otoczenia, odcinania się od niego, robiąc swoje. Rozumiejąc go, sądzę jednak, iż udawanie, że nie zauważa się negatywnego stanu problemu, sprawy nie rozwiązuje i że istnieją inne postawy reagowania na zjawisko. To jednak temat sam w sobie, na inną okazję.

Sens definicji drugiej tkwi w semantyce słowa składającego się z dwóch równie ważnych pojęć: archi i tektura. Tektura to osłona, otulina naszego życiowego sacrum. Pomijając w tym miejscu Greków, słowo w tym jego rozumieniu pochodzi z łaciny - *tectum* to wprost: strzecha, dom, mieszkanie, świątynia, grotą, jaskinia, a *tectus* to kryty, nakryty, opatrzony dachem<sup>2</sup>. Tektura natomiast to przecież gruby rodzaj papieru służący między innymi do wykonania pudła, dla osłony czegoś cennego, zawartości zasługującej na ochronę. Podczas gdy kwintesencją otaczającej nas przestrzeni jest dom, budynek, to sensem domu, budynku jest jego wnętrze; jest więc on czymś wydrążonym, w przeciwieństwie do budowli, pełnej, która wydrążoną nie jest, z zasady. Dom zatem to struktura osłonięta, zamknięta, z opakowaną (tak!) jego przestrzenią wewnętrzną. A archi? Od źródłosłowu – *pnia*, jakim jest słowo: *arch* (*arc*) i wszelkie jego pochodne, jak *archi* czy *arche* znaczą coś ważnego, nadrzędnego, prawiecznego, a także i łączącego, wiążącego. Mamy więc raz budynek, bryłę wydrążoną, posiadającą wnętrze; raz budowlę, z zasady niewydrążoną, wnętrza nieposiadającą, jak między innymi pomnik czy most. To właśnie most, od zarania łuk, *arc* (*franc.*), łączy dwa niedostępne sobie brzegi. Sens łuku tkwi w jego zworniku, w nim łuku doskonałość. I architektura, *in se*, łączy. Miasto budowano, by ludzi łączyło.

\* \* \*

W pisaniu o architekturze, w dyskusjach na jej temat, ale głównie może w wykładach dla studentów architektury (choć w zależności od tego, kto i co im wyklada :-), do znudzenia powtarza się nieustająco, wplatając w różne konteksty prawdę witruwiańskiej triady: *venustas*, *utilitas*, *firmitas*. To uprawnione, w porządku: trudno i niekomfortowo majstrować przy niepodważal-

nej prawdzie naszego wielkiego antenata, przyjmując ją w jej podstawowym przesłaniu za dobrą monetę. Przez stulecia do triady tej nie sposób było coś dodać czy ująć. Należy jednak pamiętać, że nie stoimy w miejscu i choć niekoniecznie musimy negować dokonania poprzedników, powinniśmy przyglądać się im i stosownie do upływu czasu, a zatem do nieustannej zmiany warunków, uzupełniać nawet pozornie niepodważalne prawdy.

W warunkach ułatwionych, dzięki Witruwiuszowi, zajmujący się teorią architektury badacze, ci niepokorni, którzy wątpią (*dubito*), gdyż wiara w utrwalone już prawdy im nie wystarcza, całkiem już nie potrafią, nawet chlubnie, pasożytować na mistrzu. W moich tekstach wielokrotnie na niego się powołując, co jakiś czas do niego wracając, zatrzymuję się i kolejny raz staram się weryfikować mój pogląd. Nic to odkrywczego, tego rodzaju zabieg winno się chyba, wszak, stosować z zasady. Zaczniemy od *firmitas*, czyli trwałości, w polskiej interpretacji sfery konstrukcyjnej architektury. Zaakceptowaliśmy wszak koncepcję wielkiego Rzymianina i oczywiście, mówiąc o trwałości, chodzi tu głównie i przede wszystkim o materię. Jednak chyba warto poszerzyć sprawę o trwałość duchową, różnych zresztą kontekstów (symbolika miejsca, pamięć, rola znaku, miejsce w percepcji architektury itp.). W jednym z esejów mojej książki poruszyłem ten problem<sup>3</sup>, nie jest więc zasadne wracać do sprawy w tym miejscu; uzupełnienie czegoś o coś to jeszcze niekoniecznie zamiana czegoś na inne.

Zgodnie z przyjętym tytułem niniejszego szkicu warto natomiast zająć się dwoma następnymi pojęciami triady: *venustas*, czyli pięknem, podległym sferze sztuki, i *utilitas*, czyli dobrem, podległym sferze wiedzy o człowieku, w jakiej mieści się funkcja architektoniczna – użyteczność.

Wbrew pozorom, a ściślej – wbrew zakodowanemu w nas przeświadczeniu, piękno i użyteczność architektury nie mają z gruntu odrębnych, przeciwstawnych sobie czy wręcz antagonistycznych wartości. Nie bagatelizowałbym, już na wejściu, obiegowej oceny, często występującej u samych architektów przy okazji oceny jakiegoś obiektu w rodzaju stwierdzeń typu: dobra architektura, w przypadku zwrócenia uwagi na walory estetyczne jego formy, a niekoniecznie funkcji, czyli na wartości artystyczne, a nie wyłącznie użytkowe. Dziewczyna, którą na pierwszy rzut oka uznamy za piękną, może się przestać podobać, jeśli stwierdzimy

<sup>2</sup> Słownik łacińsko-polski, opr. K. Kumaniecki, PWN, Warszawa 1984.

<sup>3</sup> J.A. Włodarczyk, *Obecność architektury*, Rozdz. 3: O trwałości architektury, Wyższa Szkoła Techniczna, Katowice 2013.

<sup>4</sup> J.A. Włodarczyk, op. cit., Rozdz. 2: O odświętności i codzienności architektury, Wyższa Szkoła Techniczna, Katowice 2013.

u niej cechy negatywne; czasem wystarczy, by tylko otworzyła buzię :-), i odwrotnie: dziewczyna może nie wyjątkowej urody, będzie się nam podobać coraz bardziej, kiedy to, poznając ją bliżej, zauważymy szczególnie pozytywne walory jej charakteru; wyda nam się znacznie ładniejsza niż przy jej poznaniu. Uśmiech, niemal z zasady, może nas uczynić piękniejszymi, choć nasza fizjonomia obiektywnie zmianie nie ulega. Są to sygnały, iż pojęcia piękna i dobra mogą się niekiedy na siebie nakładać. Estetyka i etyka, razem. Skoro niekiedy przekłada się cechy ludzkie na architekturę, można by oczekiwać od niej swoistego wyrazu z czymś na kształt uśmiechu włącznie; jednak, choć postmoderniści czegoś takiego próbowali i wychodzili z tego grymasu, skrzywienia wątpliwej proveniencji :-), zostawmy.

Można uważać, że zjawisko to wiązało się z kontekstem rozważań nad pojęciem piękna w sztuce i tym, iż sztuka wcale piękna być nie musi, i że dwa te pojęcia, te dwie wartości nie są nierozdzielne. W wyniku poszukiwań właściwej dla architektury, szeroko rozumianej drogi w próbach oderwania się wreszcie od tradycji antyku i w konsekwencji sukcesywnie narastających ich nawarstwień na przełomie XIX i XX wieku uzyskano wreszcie maksymalne tego efekty w 2-3 dekadzie nowego stulecia. Jednocześnie uporządkowano w miarę problem miejsca architektury w sztuce. Z wynaturzeniami – w postaci: czy to wcześniej w wyniku wszelkich eklektycznych działań jako rezultatu zniewolenia jeszcze antykiem, czy już swobodniej, w czasie od niego się odrywania, czyli secesji – uporała się wreszcie z tym wszystkim nowoczesność. Zda się więc, iż zbitka pojęć: architektura i sztuka, plus modernizm i ich wzajemne, nowe zależności musiały całkiem przekształcić nasze postrzeganie sztuki.

Schyłek epoki, zwany fin de siècle'm, naznaczony rolą odegraną przez paryską Ecole des Beaux-Arts, ocenić można jako najgorszy okres dla architektury, swego rodzaju jej rozbiór. Rola jej ograniczona została do elementu artystycznego, czyli formy, ale ograniczonej do ozdoby, decorum, mniej czy więcej potrzebnego appendixu, dodatku przyklejonego do funkcji i konstrukcji wartości zawłaszczonych zresztą przez techników, humanistów i innych tutti quanti. Architektowi został okrojony zakres formy, ta pseudoforma. W modernizmie, po raz pierwszy od czasów gotyku, piękno architektury, a z pewnością lepiej - jej forma, mogły być wyrażane dzięki strukturze, a nie doklejanemu na siłę ornamentowi. Nie znaczy to, że wciąż resztki tego pawiego ogona tu i tam nie ciągną się jeszcze za nami, ale to już problem inny, kolejny. Tak czy inaczej, można więc chyba zgodzić się, iż wszystko to jest wystarczającym argumentem, by termin: d o b r a architektura,

w miejsce: p i ę k n a - w określonych konsytuacjach - zaakceptować.

Tak: to, czego dotyczą powyższe refleksje, to sfera architektury uniwersalnej, europejskiej, naszej antyčno-chrześcijańskiej tradycji. Ale jest także tego zagadnienia jakby druga strona: tradycja rodzima, ludowa, regionalna. Nasza własna. Wiejska (pozytywna lub obojętna) bądź wsiowa (negatywna); zasiedziała, nieprzewietrzana i nieweryfikowana. Dominująca w konsekwencji dominującej wiejskości nad miejskością kraju, a także dominującej religii katolickiej, akcentowanej obrazem i spektaklem, czyli wizualną formą przekazu wartości religijnych. Czynniki te, obok selekcyonowanych przez elity wartościowych obiektów sztuki ludowej, musiały zawsze owocować kiczem; jakże często do rangi sztuki kicz usiłując podciągnąć, albo też i do poziomu kiczu ją ściągając.

Mówiąc o wpływie myślenia o sztuce na naszą polską przestrzeń poprzez wyznaczenie rzymskokatolickie z jego celebrą i tejsze celebry wizualną oprawą, warto pamiętać o wpływach innych krajów katolickich, głównie Włoch – ostatecznie, wraz z chrześcijaństwem wszystko przychodziło do nasz Zachodu. Włochy to naturalne, bez komentarza: Rzym, Watykan, papież, etc. Architektura europejska od czasów reformacji, jako zjawisko przez kontrreformację utrwalone, zaznaczyła się zdecydowanym podziałem w zakresie formy: uporządkowanej, wstrzemięzliwej i oszczędnej w wyrazie w krajach protestanckich - Anglii, Holandii, północnych Niemczech, Skandynawii i, ze wszystkimi przeciwnymi cechami wyżej wymienionych, w krajach katolickich: Hiszpanii, Portugalii, we Włoszech, i w Polsce - z uwzględnieniem różnic jakościowych przestrzeni, oczywiście. Z punktu widzenia: miejskość-wiejskość, zestawienie jest trudno porównywalne. Nie darmo szczytowe osiągnięcia wchodzącego właśnie na europejską scenę modernizmu mają miejsce w Finlandii i Holandii, a i innych krajach niekatolickich, jak w Izraelu (Tel-Awiv), Związku Radzieckim lat dwudziestych, czy wreszcie w Czechach, kraju nibykatolickim, lecz o tradycjach husyckich, z wyraźnym od katolicyzmu odchodzeniem i wyraźną społeczeństwa laicyzacją. Im zresztą, Czechom, zdominowanym w czasach kontrreformacji przez katolicyzm, udało się przyswoić barok w jego najlepszej postaci. W Polsce, tradycyjnie już od wieków, na wartości estetyczne nakładają się wartości religijne. Stało się to swoistą zbitką pojęciową i tu barokowe sacrum trafiło pod strzechy, i wyszło, jak wyszło. Zda się to potwierdzeniem teorii percepcji sztuki w dychotomii: odświętne-codziennie, gdzie i sztuka, i religia występują razem, jako odświętne. Pojęcie sztuki innej niż sakralna, a więc codzienna, u przeważającej części naszego społeczeństwa nie zaistniało<sup>4</sup>.

\* \* \*

Czyżby więc zmierzchn piękna jako jednego z trzech pojęć witruwiańskiej triady? Niekoniecznie. To tylko kwestia charakteru i sensu tejże formy, a nie jej treści; do tego aspektu jeszcze powrócę. Problem jest aktualny tak długo, jak długo trwa modernizm i jak mantra wciąż wraca *less is more* i *function first*, a i tak wciąż trzeba tłumaczyć, że chodzi o inną formę i inne piękno niż o bezmyślnie dodawane *decorum*.

Czynnikami, jakie niewątpliwie miały istotny wpływ na estetykę modernizmu w architekturze, były typizacja i prefabrykacja. Oba one to konsekwencja przeciwstawienia elitarności egalitarności. Zjawiska typizacji modernizm nie wymyślił, traktował ją jako *conditio sine qua non*, zakładał jednak określony jej zakres i skalę. Ją wcześniej, z czasem, w konsekwencji rozwoju techniki, prefabrykację, z takim też warunkiem jak i typizację. Powtarzalność projektów, w całości lub w części, jako powielanie wzorca, znamy już z antyku, od Greków wziętą. Świątynia. W naszym kraju, w Królestwie Polskim (1815-1830), przykładem rodzącego się przemysłu, np. tkackiego, są realizacje według projektów typowych domów tkaczy, w Łodzi czy Pabianicach, gdzieśgdzie zachowane. Sięgnijmy jeszcze bliżej, w drugą połowę wieku XIX, czas najczęściej i najchętniej przeciwstawiany modernizmowi, jako reprezentujący architekturę atrakcyjną w przeciwieństwie do monotonii i nudy nowoczesności. Przyjrzyjmy się czynszowej mieszkaniówce, wejdźmy do mieszkań, poodwiedzajmy je po kolei. I co zobaczymy? Identyczne mieszkania, jak leci: i te duże, komfortowe od ulicy, i małe, niekomfortowe od podwórza. Identyczne, więc dla odróżnienia, a i dla piękna obklejano fasady ornamentem, od-sasa-do-lasa, oczywiście te od ulicy, od przodu, aby stały się widoczne i by się nimi pochwalić, aby je odróżnić od siebie, lecz od tyłu już nie. Piękno architektury tkwiło więc w ornamencie, czynniku abstrakcyjnym, z bryłą budynku niezintegrowanym, skoro taki sam budynek można było byle jakim *decorum* uszczęśliwić. A skoro tak, to faktycznie, może i trudno się dziwić, że we wspomnianym wyżej niechlubnym dla architektury czasie rolę architekta postrzegano jako dekoratora, skoro ani użytkowość (powielana), ani koncepcja konstrukcyjna (powielana podobnie) nie interesowały go – takie były wszak trendy: tak silnie przywarło do nas naznaczenie antykiem, cóż, że podrabianym.

Tak, lubimy wszystko, co-się-da, ozdobić, nie tylko architekturę, tę od wielkiego dzwonu, ale i w życiu, na co dzień, zagracając wnętrza i zewnątrz naszego otoczenia, czy wręcz się ubierając, rozmaite dziwne rzeczy nakładając na siebie. Taki drobiazg, już z zasady, z przyzwyczajenia: choinka, piękne drzewko

bożonarodzeniowe, zwłaszcza gdy sosnowe, obwieszane zwykle tak pięknymi ozdobami, że może często przydałoby się je, ozdoby, czymś dla ozdoby ostoić :-). Czyż sama natura, wciągnięta w przestrzeń kultury celem jej upiększenia, powiedzmy - z dyskretnym oświetleniem jednobarwnych lampek, nie wystarczy, nie jest wystarczająco piękna? Bywa różnie, w znacznej mierze decyduje tu tradycja i przyzwyczajenie, ostatecznie we własnym domu – wolnoć Tomku. Ale też mówi się: to ze względu na dzieci, one to lubią. Nieprawda, to dorośli lubią tak mieć, dzieci zwykle wiele do powiedzenia nie mają, choć często mają znakomite wyczucie formy. Obserwowałem dziecięce rysunki i tak gdzieś do siódmego roku życia potrafią świetnie rysować – dopóki dorośli, głównie szkoła, skutecznie im w tym nie zaczną przeszkadzać!

Dobrze. Estetyka: pięknie-niepięknie, ważna rzecz. Architektura jednak, jako sztuka, to nie malarstwo czy inny nieużytkowy jej rodzaj; obraz można sobie w domu zawiesić - fajnie, lubię malarstwo, mam swych ulubionych mistrzów, choć nie o nich koniecznie chodzi - ale nie jest to niezbędne. Od dawna (choć nie zawsze, *tafelbild* to zjawisko zaistniałe dopiero od średniowiecza) tak było i dalej tak jest, w porządku. Tu nic nie drgnęło. Z architekturą - inaczej. Obrotu o 180°, czyli wejścia egalitaryzmu w miejsce elitaryzmu (no, nie do końca, *non omnis*, na szczęście :-)), nie wymyślono ot, tak sobie. Stabilność zaludnienia świata (zostałmy przy Europie) długo utrzymywała się na w miarę przewidywalnym poziomie, czemu sprzyjały wojny i rewolucje, epidemie, głównie niedostateczna wiedza i wielce ograniczone tym samym możliwości utrzymywania człowieka przy życiu, czyli wczesna umieralność. Dla elity miejsca i innych środków starczało, o nieelity, czyli masy (bardziej elegancko: *naród*, *społeczeństwo*) nie troszczono się.

Przełom wieków XIX i XX zaznaczył się gwałtownym, z dziesięciolecia na dziesięciolecie, permanentnym przyspieszaniem wzrostu ludności, jednocześnie i rozwojem wiedzy wszelkich dziedzin, z ich teorią i praktyką. Wzrost zaludnienia, głównie miast, rozwój przemysłu, powodowały gwałtowny wzrost zatrudnienia i niespotykaną dotąd potrzebę budowy mieszkań dla niespotykanej liczby robotników, rekrutujących się głównie ze wsi. Równolegle dokonywał się także przełom w myśleniu społecznym, choć wszelkie teorie uzdrawiania stosunków społecznych i warunków życia nieelity elity nie absorbowwały. Nawiasem mówiąc, kapitalizm był zainteresowany godziwymi w miarę warunkami siły roboczej, a idee humanistyczne musiały z czasem, *nolens-volens*, znaleźć aplauz na w miarę znacznym poziomie - przynajmniej teoretycznie czy pozornie. No i przebrnąwszy przez te parę truizmów

(wszystko to bowiem niby każdy z nas wie!?), mamy podstawy do zrozumienia logiki egalitaryzmu, czyli sposobu na architekturę nowoczesną.

Modernizm architektury to niewątpliwie przede wszystkim idee egalitaryzmu: na dobre i na złe. Wszyscyśmy równi, jakkolwiek nasze mózgi, jeśli nawet jednakowe, to niejednakowo chyba wykorzystywane :-). Oczywiście, wypada wprost mówić o dobru; etyka, moralność zobowiązuje nas do tego, rzecz jest jakby pozadyskusyjna. Sprawiedliwość, równość wobec prawa: tak nam mówi nasza chrześcijańska religia, ale i wypisane było to też na sztandarach Rewolucji Francuskiej, a z pewnością propagowana przez nią równość. Jakże często, a może jest to i regułą, chcemy równości, to oczywiste. Jednak gdy już ją osiągniemy (choć jak to ocenić i sprawdzić?), chcemy być lepsi, mieć więcej niż inni. W miejsce slumsowych warunków uzyskujemy prawie darmo, jak w naszym PRL-u, mieszkanie w miejskiej, (modernistycznej) zabudowie wielorodzinnej, z mieszkaniem M4 czy M5, z podstawowym komfortem. Krótco po tym brzydzi nas blokowisko, chcemy mieć domek z ogródkiem. A dalej nawet mieszkanie w domu wielorodzinnym, ale już grodzonym, ze strażnikiem, sygnalizacją i psem. Albo ewentualnie w tradycyjnej zabudowie, w kamienicy, ale w mieszkaniu tym od ulicy, nie slumsowym, podwórkowym. Bez komentarza. Zrozumiałe w przypadku zwykłego, przeciętnego użytkownika architektury: chcę mieć więcej, ale też i być lepszy od drugiego, by móc mu imponować; niezrozumiałe w ustach jej teoretyków, opozycyjnych w stosunku do idei modernizmu, że wspomnę przykładowo, Leona Kriera <sup>5</sup>.

W architekturze modernistycznej, głównie mieszkaniowej, chodzi - czy nam się to podoba, czy nie - o masówkę, o substancję większej znacznie skali w stosunku do architektury elitarniej. Tu musimy przyjmować inne kryteria oceny fenomenu, jakim jest z natury rzeczy architektura egalitarna. Pojęcia: piękne-brzydkie nabierają tu innych znaczeń. Za architekturę elitarną uważano tę najlepszą. Egalitarną jest każda, lepsza czy gorsza, bez znaczenia.

Rzecz w tym, iż w dyskusjach, zresztą, na-jakibądź-temat: ładne-brzydkie, dobre-złe itd. popełniamy dwa błędy, dwie nieprawidłowości, jakbyśmy tego nie nazwali. Pierwsze to wpadanie w skrajności: albo jest coś takie, albo siakie, myślenie czarno-białe, w środku nic, zero. Drugie to porównywanie nieporównywalnego. Zwykle dotyczy to porównań czynionych w sposób niesymetryczny: z tego, co faworyzujemy, bierzemy przykłady najlepsze, z tego, co odrzucamy – przykłady

najgorsze. Tak jest w przypadku porównań architektury tradycyjnej, powiedzmy, że powrócę: XIX-wiecznej kamienicy czynszowej z modernistycznym tzw. blokiem. Przykładem pozytywnym będzie wtedy luksusowa kamienica XVI dzielnicy Paryża, no, może też i ta bogatsza z przedwojennej warszawskiej ulicy Marszałkowskiej, a negatywnym - źle wykonany budynek z wielkiej płyty, z jakiejś Pipidówki Wielkiej, w Polsce, na Ukrainie, w Rosji czy z innego kraju środkowo-wschodniej Europy (choć i na zachodzie Europy też by się coś takiego znalazło). Dla tych budynków wymyślono u nas piękne określenie: blokowisko (tak jakby: ludzie, czyli ludziska).

Sądzę, iż można by zaryzykować twierdzenie, z którego wynika, że porównując jakość porównywalnej, tej mniej niż przeciętnej substancji mieszkaniowej XIX-wiecznej zabudowy kwartałowej z odpowiednią modernistyczną, ocena wypadłaby na korzyść tej drugiej - tak w Polsce, jak i z pewnością w architekturze Zachodu, głównie jego krajów zachodnich i północnych, jakkolwiek zależałoby to niewątpliwie od obrazu stopnia zniszczenia miast w czasie II wojny światowej. W przypadku Polski dotyczyłoby to zarówno osiągnięć w międzywojniu, jak i w PRL-u. Sprawdzenie tej sugestii to już zadanie dla naszych badaczy.

Ilość jest wrogiem jakości, to wiemy. Wszelkie porównania elitaryzmu architektury tradycyjnej wywodzącej się z kultury antycznej przyswojonej przez chrześcijaństwo z egalitaryzmem nowoczesności wypadają niekorzystnie dla wartości drugiej; są z natury rzeczy nieadekwatne, więc bezzasadne. Inne konteksty, inne: czas, skala, mentalność. Z jednej strony stulecie modernizmu, z drugiej – kilka tysięcy lat wspomnianej tradycji. Warto pamiętać, że obraz ten wzmocniły kolosalne zniszczenia II wojny, powodując dodatkowe przyspieszenie w odtwarzaniu i zwiększaniu substancji budowlanej Europy, niezależnie od czynników związanych z oczywistym wzrostem i rozwojem, zaznaczonym wyżej.

Nadmiar powoduje nudę. Im czegoś więcej, nudzi nas tym bardziej, i to bez względu na to, czy odbieramy to jako złe, czy jako dobre, negatywne czy pozytywne; nadmiar czegoś fajnego też znudzić potrafi, można by przywołać tu i doświadczenia kulinarne. Jednak jakość tak rozumianego pojęcia nudy nie jest, oczywiście, bez znaczenia. Można sądzić, że powszechnym zjawiskiem jest u ludzi potrzeba atrakcyjności w dzianiu się, w spektakularności. Mam prawo sądzić, że czytanie Prousta czy słuchanie kwartetów Haydna uważane będzie, przez większość odbiorców

<sup>5</sup> L. Krier, *Architektura. Wybór czy przeznaczenie*, Arkady, Warszawa 2001, s. 13, 82.

za nudne; u mnie jest – odwrotnie; rządzi nami subiektywizm. Nudne, gdyż zbyt wolno sprawy się toczą. W porządku, to jeszcze nie musi mieć naznaczenia: dobre/złe. Jednak preferencja nadmierna tego dziania się w przestrzeni zorganizowanej powoduje często zbyt dużą dowolność, prowadzącą do chaosu, do anarchii przestrzennej. Wiemy, iż w naszym społeczeństwie jawi się to jako swoista cecha, narodowa, sięgająca wspólnoty plemiennej. Mieszkalnictwo jednorodzinne jest tego klinicznym przykładem. I obojętny jest tu fakt, czy mamy do czynienia z chaosem interesujących, ładnych budynków z ich otoczeniem, czy z czymś przeciwnym. Chaos pozostaje chaosem.

Jako przeciwieństwo chaosu widzę nie tyle pojęcie ładu pozytywnego, nazywanego harmonijnym, lecz ładu jakby na kształt niemieckiego *ordnung*, czyli oscylującego w stronę hiperładu, ładu odbieranego negatywnie: nadmiernego, niezharmonizowanego, psychicznie uciążliwego i niewątpliwie - nudnego. Jak zwykle sens w takich razach tkwi w środku, nie na obrzeżach i jest rodzajem kompromisu, którym jest właśnie stan harmonii. Zjawiska nie należy oceniać jako od negatywnego (chaos) do pozytywnego (ład), lecz na zasadzie łuku, gdzie wartości negatywne (chaos i hiperład) znajdują się w przyczółkach, a to, co pozytywne, jest w środku, w zworniku (ład harmonijny)<sup>6</sup>. Analogii z zasadą łuku można by się dopatrzeć, między innymi w najnowszej (?) historii polityki: skrajności prawicy (nacjonalizm, faszyzm) i lewicy (komunistyczny totalitaryzm) często znacznie łatwiej do siebie przystają niż każde z nich z osobna do kompromisowego środka, czyli demokracji i liberalizmu.

„[...] Robert Brasillach, stracony po wyzwoleniu jako symbol kolaborującej [z Niemcami, przyp. JAW] inteligencji, a w latach 30. pisujący [...] skandaliczne teksty do gazet ekstremalnej prawicy, dawał często wyraz swemu [...] podziwowi dla radykalnej lewicy [...]. To w latach 20. Georges Valois [...] próbował połączyć nacjonalizm i socjalizm w ruch zwalczający indywidualizm, liberalizm i ustroj parlamentarny[...]”<sup>7</sup>.

Mamy tu jeszcze coś innego, jak bezład odbierany jako stan pozytywny, taki miły bałaganik, choć to już bardzo indywidualne traktowanie stanu naszego otoczenia. Jakże pasuje tu poetyckie ujęcie problemu, iż ład jest przyjemnością rozumu, ale bezład – rozkoszą wyobraźni” (P. Claudel).

Przeciwnicy rygorów jako konsekwencji ładu, każdego, a zwolennicy do-wolności, z hasłem: wszystko jest dozwolone, nie zauważają, iż w praktyce, w naszej rzeczywistości europejskiej, ale też i polskiej, obok negatywnych przykładów sfery tzw. blokowisk powstawało wiele dobrych (pięknych) zespołów architektury/urbanistyki, świetnie skomponowanych, w międzywojniu, w PRL-u, a i w ostatnim ćwierćwieczu: to nawet jest uzasadnione, w koncepcjach mieszkalnictwa pozostaliśmy zbyt często w kierunku niewłaściwym.

Większa wyliczanka byłaby w tym miejscu nonsensem, przywołam więc parę przykładów głównie warszawskich i tuskich, jak w międzywojniu osiedla B. S. Brukalskich Żoliborz, 1930-1934, H. i S. Syrkusów Rakowiec WSM, 1930-1937, a PRL-u tychże Syrkusów Praga I 1948-1952 oraz Koło ZOR 1950-1956, H. Skibniewskiej Sady Żoliborskie i Szwoleżerów 1972-1974 czy wreszcie Z. i O. Hansenów Przyczółek Grochowski, osiedle odsądzane od czci i wiary głównie w wyniku przekształceń projektu wbrew woli autorów, złej organizacji funkcjonowania osiedla przez jego administrację, też i w wyniku braku przygotowania użytkowników do zaakceptowania zbyt nowatorskich rozwiązań<sup>8</sup>. W Tychach już plan urbanistyczny miasta, realizowany zgodnie z jego założeniami, gwarantował wysoką jakość osiedli; wymienię z nich niektóre, według mnie tego warte, jak B, D3, E2 (szeregowo-galeriowe), E3, E4, K-Karolina i Z-Zuzanna. Wszystkie one, realizowane w różnym czasie od połowy lat pięćdziesiątych do połowy lat siedemdziesiątych, charakteryzują się dobrą kompozycją, zmierzającą do tworzenia związków przestrzennych i społecznych, a także w miarę dobrą czytelnością i wyrazistością<sup>9</sup>. Jeśli zaś chodzi o czasy nam najbliższe, czyli te po roku 1989, zaistniałe w wyniku powrotu po półwieczu do demokracji i kapitalizmu, ocena jest trudna. Trudność jej polega głównie na chaosie ideowym działań w przestrzeni, charakterystycznym dla ponowoczesności, w której to wszystko jest dozwolone, ale też w znacznej mierze ten zakres działań w bardzo małym stopniu absorbuje nasze społeczeństwo: od góry – władza, od dołu - użytkownik architektury. Na dole olbrzymi procent zainteresowanych problemem przestrzega głównie to, co „moje”: mieszkanie, dom, ale już w minimalnym stopniu bezpośrednio otoczenie będące poza własnym miejscem, czyli: moja chata z kraja. To, co w PRL-u sygnalizowało zaledwie jakieś oznaki

<sup>6</sup> J.A. Włodarczyk, Około architektury, Rozdz. 2: Między ładem a chaosem..., Politechnika Białostocka, Białystok 2003.

<sup>7</sup> T. Judt, Historia niedokończona. Francuscy intelektualiści 1944-1956, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa, s. 27-28.

<sup>8</sup> F. Springer, Zaczyn. O Zofii i Oskarze Hansenach, Wydawnictwo Karakter, Kraków 2013.

<sup>9</sup> J.A. Włodarczyk, Pokochać Tychy?, czyli Miasto od nowa, Wyższa Szkoła Techniczna, Katowice 2012.

wspólnot sąsiedzkich w naszym niespołecznym społeczeństwie, wyparowało. Nowe jednostki mieszkaniowe to zbiorowiska indywidualistów, bez możliwości kontaktów społecznych. Wszystko to ma swe korzenie w złym prawie, albo lepiej - w jego braku<sup>10</sup>.

Oczywiście, zgodnie z teorią: ilość jest wrogiem jakości, potrzeby czasów międzywojnia, a w jeszcze większym stopniu czasu po II wojnie w Polsce, a co za tym idzie, masówka domów dla mas, stosownie do hasła egalité sprawiały, że w określonych warunkach ekonomicznych, przykładów na złą lub taką sobie architekturę przytoczyć można by znacznie więcej. Samo życie. Dokładała się tu jeszcze często fascynacja nie zawsze sensowną powtarzalnością projektów u części architektów oraz wygodnictwa wykonawcy; ale na ten temat powiedziano już wiele.

Wracając jeszcze do zjawiska nudy w jej negatywnym aspekcie (nuda może być twórcza, a nawet przyjemna - do wielu powtarzających się permanentnie naszych działań nieustająco powracamy, z przyjemnością), wiele szkody poczyniło automatyczne powtarzanie układu grupy budynków, np. w tzw. układach grzebieniowych, ale i w każdej sytuacji, gdy liczba ich przekracza określoną wielkość, czyli o tendencji do liczby ograniczonej. Znane to zjawisko. W naszej skromnej literaturze z zakresu teorii architektury, w książce ponoć dobrze(?) znanej naszym architektom, pisał o tym Juliusz Żórawski: „Niektóre dzikie szczepy zdolne są liczyć zaledwie do sześciu; każdą większą ilość nazywają „dużo”. Ludzie stojący na wysokim szczyblu cywilizacji umieją liczyć miliony, lecz potrafią spostrzec na raz i odróżnić najwyżej sześć elementów<sup>11</sup>.

Więcej niż sześć powoduje dezorientację co do ilości, rozkojarzenie, zmęczenie i nudę. Tak jest i z naturą: jedno, dwa, trzy drzewa i dalej do sześciu są policzalne. Im bardziej w las, tym więcej drzew, coraz trudniej policzalnych. Tyle że drzewa nie nudzą, las zawsze jest piękny, a i nie ma potrzeby drzew liczenia.

Tak więc ład harmonijny z pewnością nudny być nie musi, nawet gdy jest w miarę uporządkowany, choć daleki od nadładu. A z drugiej strony - chaos może być nudny, także w wyniku powtórzeń. Powtarzalność w chaosie przedstawia bowiem inny zgoła charakter zbioru z uwagi na jedną i tę samą zasadę przy różnicy w szczegółach; nie jesteśmy w stanie odróżnić powtórzeń w ich w masie - często, jeśli nie powszechnie. Dla zjawiska przestrzennego chaosu nie ma też znaczenia,

czy będzie on zbiorem budynków złych (brzydkich) czy dobrych (pięknych) lub jednych i drugich łącznie, przemieszanych. Nadmiar formy w układach nieuporządkowanych jest bowiem jednym z podstawowych wrogów architektury.

Wrogiem jej jest także dążenie do oryginalności z zasady, ta bowiem często może uzyskać status unikatów, ale już arcydzieła - baaardzo rzadko. Unikat może być dobry lub zły, arcydzieło zawsze dobre, o nie zresztą jest najtrudniej<sup>12</sup>. Architekt z zasady stara się być oryginalny. Zamiar taki nurtuje już studenta architektury od zarania styczności z tym zawodem uważa, że nosi w tornistrze buławę geniusza. Ileż to razy dawało mi się usłyszeć od studenta na korekcie, że chciałby zrobić projekt nie tyle dobry, lecz oryginalny. I tak to nam, architektom, zostaje. Ale geniuszem jest się rzadko, ale nawet, co-nie-daj-Boże, gdyby ich było w nadmiarze, nadmiar unikatów i arcydzieł - oryginalnych w swej masie powodowałby obraz otoczenia przerażający - obraz nadchaosu.

Dobra architektura, to architektura ładu harmonijnego, z powtórzeniami jako czynnikiem pozytywnym. Dobry architekt to profesjonalista perfekcyjny, a przy tym - humanista. Nie musi za każdym razem stawiać problemu na głowie, wystarczy, że coś tam doda do tego, co ktoś, a nawet on sam wcześniej już był powiedział. Liderzy to rzadkość, często geniusze, którzy z rozmaitych przyczyn nie mogli dopracować genialnych skądinąd pomysłów, nie wymyśla się też, z zasady, czegoś nie ulegającego potrzebie zmiany; ważniejsi są często kontynuatorzy, ważne, by byli dobrzy, coraz lepsi<sup>13</sup>.

\* \* \*

Przyjrzyjmy się miastom czasów gotyku i renesansu, najlepiej z lotu ptaka, no, z wieży czy z góry wierchołka, zwykle z góry zamkowej, jeśli się taka w obrębie miasta nadarzyła. Zasadą jest obraz jednolitej w formie, w tym i w kolorze, tkanki mieszkaniowej z kilkoma, nielicznymi obiektami indywidualnymi kościoła (lub ich kilku) oraz ratusza. Substancja domów jednego koloru, materiału, jednej konwencji kształtowania architektury. Nikt nie miał odwagi czy w ogóle nie było to do pomyslenia, aby odejść od zasady, dającej zresztą znaczną swobodę komponowania domów. Tak było dawniej. Ale i dziś jest to możliwe i stosowane, zgodne też z ideami modernizmu, choć znacznie trudniejsze, przykłady jednak można by mnożyć. Na przeszkodzie

<sup>10</sup> K. Kaidanek, Suburbanizacja po polsku, Nomos, Kraków 2012.

<sup>11</sup> J. Żórawski, O budowie formy architektonicznej, Arkady, Warszawa 1962, s.27.

<sup>12</sup> J.A. Włodarczyk, Oblicza architektury, Rozdz. 5: Od unikatów do uniformu, Politechnika Białostocka, Białystok 2000.

<sup>13</sup> J.A. Włodarczyk, Drogi i ścieżki do architektury, Rozdz. VIII: Liderzy i kontynuatorzy. WST, Katowice 2010.



staje problem ilości, rosnącej nieustająco - i tak oto wracamy do problemu: elitaryzm-egalitaryzm.

Zakończmy rozważania inną parą pojęć, choć niekoniecznie antagonistycznych: piękno i dobro, od nich wszak rozważania rozpocząłem. Cóż więc z tym pięknem architektury, czyżbyśmy chcieli rezygnować z *venustas*? Nie, rzecz tkwi gdzie indziej, chodzi tu o problemy wynikające z różnic oddzielających architekturę od innych dyscyplin sztuki, głównie malarstwa. Jakkolwiek w teorii sztuki wiele się w ostatnich 100-150 latach zmieniło i „stało się oczywiste, że wszystko, co dotyczy sztuki, przestało być oczywiste [...]”, nawet jej racja istnienia [...]”<sup>14</sup>, traktowanie jej może być odbierane powszechnie, z malarstwem głównie, jako sztuki kwintesencją, dominującym nad resztą jej, sztuki, dyscyplin. Architektura jest tu jakby na przeciwnym biegunie - przy tym iż większość dyscyplin mieści się w przestrzeni pomiędzy. Decyduje tu użyteczność architektury, ale nie tylko. Także masowość i egalitaryzm. Powie ktoś: obrazy w muzeach oglądają ludzie masowo; w porządku, ale to tak, jakby porównywać nieporównywalne, nieporównywalna jest bowiem skala potrzeb. Ale to także jeszcze nie wszystko. Oglądamy wyłącznie unikaty i arcydzieła, oglądamy od święta, no i w znacznej mierze dzięki wszędobylskiej reklamie, i że wypada. Tak jak na koncertach (muzyki klasycznej) słuchamy dzieł wybranych i uznanych. Oczywiście każdy artysta może zorganizować ekspozycję swojej, nie znanej jeszcze sztuki - tyle że oglądać/posłuchać pójdą tam krewni i znajomi królika. Znane i udostępnione ludziom dzieła sztuk zwanych pięknymi muszą być piękne z natury rzeczy, przeszły przez sito weryfikacji mędrców od piękna. Innych oni nie znają, inne więc nie istnieją. Otaczająca nas architektura oglądana na co dzień jest częścią naszego życia, piękna-niepiękna. Którą z niej nazwać piękną – oto jest pytanie. Stąd w jej przypadku lepiej posłużyć się w ocenie terminem: dobra, czyli użyteczna. Dla ciała i dla ducha. Może być formą piękną w swej użyteczności. Zda się bowiem, iż skończył się czas, w którym o pięknie decydowało decorum. Swoiste piękno architektury tkwi w jej strukturze, harmonii, kontrapunkcie, rytmach, fakturze i barwie. I tak chyba było i na początku, już u Greków. I jeszcze w gotyku. Liczyły się skala i proporcje. Decorum stopniowo zmieniało architekturę – niestety na gorsze.

Piękne, dobre. Słowa, słowa, słowa. A jednak słowo znaczy. Jak i architektura. Słów architektury, jak innych, zawsze i wszędzie, nie powinno się traktować w sposób ambiwalentny, na kształt przysłowia:

jak się zwał, tak się zwał, byleby się dobrze miał. To niepoważne, bez sensu. Wiemy, że niewłaściwe użycie słów zawsze powoduje kłopoty. Ostatecznie - to, czym się różnimy od naszych młodszych braci, zwierząt, to wszak język i mowa.

I już na koniec rozważań o architekturze i o słowach. Piękna, dobra. Czas zmienia nasz język, nie używamy zawsze słów tych samych dla tych samych rzeczy, zjawisk. Słowo „piękno” straciło swe dawne znaczenie, używamy go ostrożnie, zbyt jest pomnikowe, zbyt wysokie koturny. Tak jest i z architekturą. Przeciętyny jej odbiorca, użytkownik, flaner, przechodzień, któremu jakiś budynek czy fragment miasta się spodoba i nie zastanawia się on, czy jest to też i dobre, powie: ładne to. „Ładne” to określenie dla sztuki oficjalne, w liczących się publikacjach, nie do przyjęcia, niepoważne. Nie przejmujemy się jednak, czas i tak o tym zadecyduje. I chyba ładne to odpowiednie słowo. Myślę, że powiedzenie o ładnym nosie kobiety ładny nos (choć zdrobnień nie lubię) jest lepsze od Kuncewiczowej pięknego nosa - *Wunderschöne Nase*<sup>15</sup>. Jest jeszcze inne określenie, może jeszcze lepsze: fajne. Ale tego z pewnością nie darowaliby nam poloniści, strażnicy wartości języka, choć to nie oni, z całym szacunkiem, tworzą literaturę. Dziewczyna piękna? Czasem lepiej: ładna, a jeszcze lepiej: fajna. Chyba ten termin najlepiej wyraża aplauz dla fenomenu architektury i nie tylko jej :-).

Z architekturą podobnie jest jak z ludźmi. Domy są dobre i złe, ładne i brzydkie, często takie sobie. Jak ludzie. Fajnie, gdy są fajni.

A zatem: fajna architektura. W dodatku – rodzaju żeńskiego, jak dziewczyna.

PS Przypisy pozycji 3,4,6,9,12,13 są konsekwencją wcześniejszego, w innych miejscach, szerszego omówienia przez autora poszczególnych wątków.

## LITERATURA

1. **Adorno T.W. (1984)**, Teoria estetyki, PWN, Warszawa.
2. **Botton de A. (2010)**, Architektura szczęścia, Czuły Barbarzyńca Press, Warszawa.
3. **Botton de A. (2012)**, Religia dla ateistów, Czuły Barbarzyńca Press, Warszawa.
4. **Kajdanek K. (2012)**, Suburbanizacja po polsku, Nomos, Kraków.
5. **Loos A. (2013)**, Ornament i zbrodnia. Eseje wybrane, Centrum Architektury, Warszawa.
6. **Ostrowski W. (1949)**, Świetna karta z dziejów planowania w Polsce (1815-1830), Towarzystwo Urbanistów Polskich, Warszawa.
7. **Szczerek Z. (2013)**, Przyjdzie Mordor i nas zje, czyli tajna historia Słowian, Korporacja Halart, Kraków.
8. **Włodarczyk J. A. (2013)**, Obecność architektury, WST, Katowice.

<sup>14</sup> T.W. Adorno, Teoria estetyki, PWN, Warszawa 1994, s. 3.

<sup>15</sup> M. Kuncewiczowa, Cudzoziemka, Iskry, Warszawa 1987.